

Powieść w montażach (fragmenty)

1. Następuje to zawsze na początku listopada.

Słodko wyciągnięte do swej połowy życie w delikatny listopadowy wieczór określają: niebieska, jak mury gładka, szarość; już zapalone ciepłe światła i wspomnienie rozczarowań, które pomagają w niezrozumiały sposób ustalić, że w życiu w zasadzie nic się nie traci.

Jest to czas zdarzeń niepozornych, które naraz stały się ważne: czas kolorów miękkich i szarych, sklepów, wypełnionych aż po brzegi łagodnym zgiefkiem życia i włosów pachnących, złotych i kasztanowych, czas krągłych spacerów niezliczonych.

Szczęście przychodzi wtedy jak do wieczora przynależne. I do wieczora należy łagodne piękno chodzenia. I niebo bursztynowe. I blok nadziei. Życie jest wtedy pełne znaczenia.

Warto być doskonałym dla wieczora: jak dla człowieka.

W takie aksamitne listopadowe wieczory można zacząć życie od nowa. I właśnie w taki wieczór zaczy-

na się teraz nowa seria życia: życie odpowiedzialne i zawsze szare; i życie zawsze marginesowe, wstydlive nieważne i skrycie słodkie.

Jest listopad, 1934 roku.

2. Soir de Paris

Etykieta perfum, wody kwiatowej i pudru marki „Soir de Paris” (firma „Bourjois”, Paris-Varsovie) ma kształt prostokąta, dokładnie w połowie podzielonego na dwa przyległe do siebie trójkąty. Jeden trójkąt jest według koloru granatowy jak nocne niebo, drugi jest koloru srebrnego, koloru dalekich gwiazd.



Trójkąt koloru gwiazd został zbanalizowany przez napis: anons marki, firmy i gatunek produktu. Całkiem inaczej ciemny trójkąt koloru nocnego nieba. On jest całkowicie wyzyskany i całkiem doskonały:

by prezentować zdarzenia, całą serię cudownych przypadków życia.

Następująca scena przesuwa się tu z góry na dół: najpierw przychodzi pozująca modelka, później policjant, który kieruje ruchem na kulistym Place Concorde, ruch odbywa się wokół sklepienia z marmurowego szkła; i dalej znowu – naga kobieta o klasycznych proporcjach; a na koniec szklany obelisk i profil Izby Deputowanych w Paryżu.

Metropolia, rankami cała z niebieskiej szarości, składa się teraz z: koloru granatu (niebieski z etykiety perfum; niebieski kobiecych sukien: wszystkie kobiece suknie pachną wieczorem niebieskością; głęboki błękit nieuchwytnych postanowień i widoków).

Dalej idzie srebrny: (srebro gwiazd; srebro etykiet „Soir de Paris”, srebro tęsknot, skropionych czekaniem i rozczarowaniem każdego wieczora z osobna).

I do tych kolorów dochodzi jeszcze wieczorna, pohyskliwa barwa życia, które jeszcze nie może zapomnieć o rzeczach przeszłych, i jest jakby zaplątana w głęboko zagubione uliczki i place i nieobecna we wszystkim.

Także wąską Rue de Seine opada w tym czasie zmierzch. Sprawia, że ta fantastyczna wąska uliczka staje się jeszcze węższa niż w rzeczywistości i wpada przez sklepiony mur wprost do zielonej Sekwany.

Tą Rue de Seine przechodzą kobiety o niewiarygodnie wąskich taliach. Są jak wycięte z magazynu mody i jakby nie mogły wydarzyć się w życiu niezależnie od tych kolorowych magazynów. I przechodzą panowie w jasnych paltach, w melonikach, z policzkami gładkimi i różowymi jak mężczy modele z wystawy fryzjerskiej.

Damy z taliami wąskimi i smutnymi, sztywni panowie z porcelanowymi twarzami – zatrzymują się przed się przed sklepami: oglądają „życie”.

Szczególnie długo zatrzymuje wszystkich witryna, gdzie „Ford” i „Citroën” prezentują swoje szlachetne, szare i długie limuzyny. I wszystkim niezwykle podobna się nazwa „limuzyna” – jej dźwięk płynący.

Jest szary wieczór listopadowy. W taki wieczór wszyscy ludzie szykują się do życia: każde chodzenie jest obliczone na coś, co ma przyjść i słodki staje się nawet czas, który jeszcze się tak nie liczy.

W tej samej godzinie występują mieszkania, które nie biorą udziału w życiu (każdej godzinie przynależne są takie mieszkania).

W jednym takim mieszkaniu, w świeżo wyszorowanej kuchni, ulica Karmelicka, numer osiemnasty, panna służebna pije kawę. Pije z wielkiego półlitrowego kubka. Kubek jest z fajansu i ozdobiony kolorowym pasem, szerokim na trzy centymetry, ornament składa się z drobnych i sztywnych czerwonych kwiatków.

Wedle zwykłego biegu rzeczy dziewczyna powinna się teraz szykować na spacer umówiony; na kolorowy wieczór w kinie, gdzie nigdy się nie kończy okragły, wartki, potoczysty ruch życia; na dancing, gdzie ciała mieszają się z soczystym materiałem w smutku tanga (jest ona rozmarzoną blondynką, z wielkimi, szarymi oczami fantazji).

Kobiety o stalowych czarnych oczach.

Na listopadowych Champs-Elysées w Paryżu zegar wybija pierwszą popołudniu.

Na ten czas pustoszają wielkie bulwary na długości trzech czwartych i jedyny przechodzień jest już widoczny z daleka, i występuje jako ślepy tors na tle niezdecydowanego błękitu.

Kobieta o stalowo-czarnych oczach i stalowych brwiach, która idzie teraz bulwarem, jest jak dysnans w mdłym pejzażu ulicznym.

Pasowałaby raczej do zdecydowanego i samotnego grudniowego dnia. Miasto także musiałoby być inne: gdzie każdy zna się ze wszystkimi innymi i ludzie nie mają sobie więcej nic do powiedzenia.

Do błękitnego bulwaru Champs-Elysées pasuje inny ton, inne brwi i oczy.

Gdyby ich nie było – trzeba by je było sztucznie spreparować. Jednak są.

Zawdzięcza się je wielkim magazynom i salonom mody, które przynoszą błękitnym ulicom listopadowym te cudowne kobiece egzemplarze, których nie

można nazwać inaczej niż „powabne”, z tonem łamiwym, podobnym porcelanowej cerze róż herbacianych.

Przy tym nie przestaje to być rzeczą przykrą i cudowną zarazem, gdy te kobiety, które przekazują „życie” – gromadzone w magazynach jako materiały, ubrania, aromaty – gdy one same mają włosy źle ułożone, gdy ich makijaż jest niedbały, i gdy noszą się w materiałach bez wyrazu, materiałach bez akcentów, i pragną kochać słodko i sentymentalnie i tego jednego jedyngo na całym świecie.

Kobieta o stalowo czarnych oczach mówi:

„...W każdej miłości zdarza się kiedyś, że drzewa są jakby już pozbawione zieleni, a wieczory zrzuciły naraz swą aksamitną szarość i życie jest jakby już więcej nie ważne...”

Szkoda straconego czasu...”

Wtedy odpowiada jej towarzysz. Ubrany – jak zwykle – w zielone palto i sztywny melonik, odpowiada w manierze romansu staromodnego:

„...Kto wynagrodzi nam czas miłości przegranej...”

Bulwar znów wypełniają kobiety z tonem delikatnych róż herbacianych; mężczyźni w sztywnych paltach i kapeluszach.

Jest druga popołudniu i magazyny oraz salony piękności niebieskiego miasta Paryża zaczynają znów sprzedawać życie: kawałek życia za złoto; kawałek życia staje się potrzebny, gdy tylko pojawia się czerwone złoto.

Na Champs-Élysées i wszystkich bulwarach świata poruszają się szybko ludzie, którzy służą kolorowemu życiu.

Pod koniec marca przychodzi niezauważona i zupełnie jakby czekała już od dawna – wiosna.

Przychodzi z całym bagażem zieleni, która jest lekka jak westchnienie i zasłania, całkiem nieoczekiwane, błękit południa, zupełnie już niepotrzebny; przychodzi z nieodłącznym oczekiwaniem życia.

Przez wszystkie ulice świata maszerują w tym samym czasie szare uniformy. Dwojakiemu gatunku:

Te z pierwszego planu – mają reprezentować najwyższą pewność i ważność życia: należą do ludzi, którzy otrzymali w przydziale jedną rolę: demonstrować trwałe porządek świata, w którym pewność kupuje się za pożądany czerwony metal i błady metal srebra, w którym złoto rozdziela losy rzeczy.

W tle, w jeszcze niepewnym tle, który zasłaniają teraz drobne krople liści i pewność pierwszoplanowych uniformów, rysują się, jakby czekając na swoją kolej, całkiem inne figury:

Ubrane w mundury szare jak życie i jak blacha – krzywią się pod skrywaną tęsknotą. „Pragnienie

surowców, które chcą mieć swój udział w historii".
Ciężkie od czekania i jasnej szarości.

Jest koniec marca i upalna wiosna.

Świat szykuje się do wojny.

A na dworcach oczekują na siebie ministrowie spraw zagranicznych obu stron. Tylko nie w przepiśwanych, oficjalnych cylindrach; ale w całkiem zwyczajnych, czarnych, eliptycznych sztywnych kapeluszach, zwanych – z powodu ich podobieństwa do brzuchatego i eliptycznego owocu melona – „melonikami”.

I ten pozornie drugorzędny fakt podkreślają i akcentują wszystkie agencje telegraficzne, wszyscy reporterzy i korespondenci.

„Taki melonik – piszą gazety – wnosi serdeczny i nieoficjalny ton do powitania”. I tak właśnie jest dobrze, bowiem panowie w kapeluszach nie ustają w zapewnieniach, że po tych wizytach nie należy się niczego spodziewać, że powinny mieć charakter nieoficjalny, czysto informacyjny...

Była to zatem ważna i w żadnym razie nie przypadkowa okoliczność – te zwyczajne kapelusze zamiast oficjalnych cylindrów.

W stronę Afryki odchodziły w tym właśnie czasie z Neapolu statki pancerne, załadowane żołnierzami, czołgami i amunicją:

Mussolini nie chciał przegapić tych sześciu miesięcy pory suchej, które miały się właśnie teraz, zaraz zacząć w Afryce, zaraz, w miesiącu październiku.

Było mało czasu i szło o to, by wykorzystać tę przerwę aż do świeżych dni deszczowych, jeśli się chciało odnotować już wkrótce polityczne osiągnięcia dla Włoch.

Amunicja zostaje przeliczona na życie.

A Europa zatrzymuje się jak niezadowolony, skrzywiony wewnątrz szwówek w tych straconych momentach, kiedy wszystko okazuje się nieudane i mogłoby być inaczej.

W takich chwilach opada nas pasja przeliczania życia na możliwości innego gatunku. I jakby to nie szkodziło, że przy rachunku takim wypada smutek, który towarzyszy rzeczom przypadłym.

I ta pasja nienormalna i męcząca ogarnia teraz całą Europę:

Trzeciego kwietnia 1935 roku przynoszą dzienniki zestawienie liczbowe, przeprowadzone przez „Instytut Koniunktury Gospodarczej”. „Zestawienie, warte opisanie” – głosi nagłówek pewnej krótkiej notatki.

Z niej wynika, że wywóz towarów wojennych w ostatnim roku się zwiększył, wzrósł z sumy 224 milionów złotych w roku 1933 do 251 milionów w roku 1934. W ten sposób wywóz ten powiększył

się o dwadzieścia procent, podczas gdy ogólny światowy handel spadł o cztery procent.

Dalej idzie następna kolumna cyfr i ona także ma swój własny język. Z niej znowu wynika, że w roku 1935 Europa będzie potrzebować dwukrotnie większych nakładów na amunicję w porównaniu z wielkim rokiem wojny 1913.

Wtedy dochodzi do głosu wyżej wspomniana, chorobliwa pasja przeliczania. Oznacza to, że suma 30 milionów złotych, o którą powinien wzrosnąć przemysł wojenny w roku 1935 – jest znacznie większa niż suma rocznego przywozu do Europy, przywozu surowców, półfabrykatów i wyrobów gotowych, które mogą podarować samo życie.

Tyle jeśli chodzi o wiadomości z gazet.

Komentarz życia do tego: na widok wielkich obozów broni i magazynów amunicji opada nas ten sam pośny i pozbawiony wyrazu nastrój, co na widok wielkich, kuchennych podłóg szorowanych ługiem o ostrym aromacie.

Brokatowe gorsety i włosy ondulowane

Każdemu życiu potrzeba fantazji, potrzeba marzeń, w tej samej mierze banalnych, co życiowo poważnych. Taka życiowa fantazja może przybrać całkiem nieoczekiwaną postać. Może się nazywać na przykład: gorset. Gorset z brokatu koloru apykozy.

Właśnie przychodzi wiosna, taka całkiem banalna, jak każdego roku: kasztany zakwitają tłustymi, różowymi pąkami, asfalty pachną mdło akacjami, a ludzie chcą znowu „żyć”.

W salonie piękności, ulica Karmelicka, numer siedemnasty, żółta elektryczność przynosi, punkt dwunasta, lepki czas południa, a ton fryzjerek staje się wodnisty jak czekanie.

W małych siateczkach zebrane, związane różowymi wstążeczkami – salon piękności prezentuje modele fryzur, wystawione w znanym miejscu w każdej kabinie.

Utrzymane są te modele fryzur w jednym z trzech podstawowych kolorów: blond, brązowym i czarnym, który ma w sobie blask niebieskich, głębokich nocy.